

## Konstantin Opiatowicz

Złodziej kieszonkowy Konstantin Opiatowicz miał swoje codzienne, żelazne przyzwyczajenia, których nabrał podczas wielu lat spędzonych w miejscach odosobnienia. Gdy z samego rana w domu wyprasował już spodnie nagrzanym w tym celu blaszanym garnuszkiem, oczyścił buty niewielką i mocno zużytą, lecz zawsze gotową na podorędziu aksamitną szmatką i napełnił kieszenie suszącymi się w obfitości na parapecie skórkami od chleba, wyruszał zwykle na przejażdżkę wczesnym tramwajem do końcowego przystanku. Zszedłszy z asfaltowej drogi, wymijał ostrożnie kałuże na wąskiej, wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce i z przyjemnością kierował kroki na stary żydowski cmentarz. Żydzi, znani ze swojego uporu i trwania przy tradycji, trzymali się wciąż wielu dawnych zasad i z tego powodu ustronny cmentarz nadawał się doskonale, by właśnie tam mógł rozpocząć swój dzień szanowany złodziej kieszonkowy, jakim był Konstantin Opiatowicz. Jego niegdysiejszy towarzysz z kolonii karnej, odeski Żyd, opowiadał mu co ciekawsze anegdoty o sekretnych obyczajach owego nielicznego a prześladowanego narodu. Nie wszystko ostało się w pamięci, ale kładzione zamiast kwiatów na grobach małe kamyki i przeznaczone jedynie cadykom

bajkowe światy, ukryte za miniaturowymi bramami oheli, działały na Opiatowicza przed zabraniem się do roboty co najmniej krzepiąco. Później, po codziennej zmianie w tramwaju, zbyt ryzykownie byłoby jechać na koniec trasy tylko po to, by pospacerować. W ciągu dnia, gdy znużył się już hałaśliwym tłumem oraz opróżnieniem kieszeni i torebek, Opiatowicz zazwyczaj wypoczywał, przechadzając się między przystankami tramwajowymi i karmiąc gołębie noszonymi w kieszeniach skórkami od chleba. Lecz tutaj, w opuszczonym przez ludzi świecie milczących po hebrajsku kamieni, miał okazję, by ze spokojem przygotować się do codziennej krzątaniny. Idąc za wewnętrznym podszeptem, zatrzymywał się przy którymś z nagrobków i jakby mimochodem kładł na wilgotną od rosy płytę podniesioną ze ścieżki kamyk. Tak oto Opiatowicz ćwiczył specyficzną i bardzo istotną dla *karmanszczyków* umiejętność, a do tego potrzebne są szybkie i zwinne palce. Wsłuchiwał się także w ciszę oraz w samego siebie. Jednocześnie, schylając się po leżące na ziemi kamienie, nie złamał nigdy starej złodziejskiej zasady – wiedział aż za dobrze, że nawet najbardziej sentymentalny złodziej kieszonkowy pod żadnym pozorem nie może sięgnąć po coś cięższego od portfela.

Po ostatnich wydarzeniach, gdy carska Rosja na nowo włączyła w swoje imperium Estonię, Łotwę i Litwę, zmiany dotarły nawet do tak prowincjonalnego miasteczka jak Viljandi. Było oczywiście i nieco dobrego, i nieco złego. Weźmy na przykład ten sam zdobyczny tramwaj, który po wielkich bitwach z Polską sprowadzono tu gdzieś spod Krakowa czy Warszawy razem z torami i całą maszyną z zajezdni. Emerycy z małego miasteczka tylko temu przyklasnęli

i szybko przyzwyczajono się do darmowego korzystania z wyplutych z dzioba dwugłowego orła, niewidzianych tu dotąd pojazdów. Tramwaj, tak jak i metro, na linii zmontowanej pieczołowicie przez moskiewskich inżynierów, poruszał się po Viljandi w niezwykle elegancki sposób, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę pagórkowate ukształtowanie terenu: nieopodal jeziora wjeżdżał w nowoczesne, przezroczyste tunele i pędził szaleńczo przez wzgórza zamkowe z brawurą górskiej kolejki, by dowozić do nowych osiedli wciąż rosnące masy mieszkańców. Opiatowicza polityka nie obchodziła, szanujący się złodziej nie współpracował z żadną władzą, ale tramwaj na różne sposoby przynosił wiele pożytku. Mówiąc zawodowym żargonem, Opiatowicz mógł z dumą przyznać, że gdy carski orzeł wylądował znów w ich bałtyckiej okolicy, on, jako dawny *sydent* (nie mylić z dysydem!), a obecnie, w miarę możliwości, *stiliaga* (a więc gość z wyczuciem stylu), nie musiał zmagać się z *depressniakiem* (tak ulubionym przez żyjących tu niegdyś Estończyków zamartwianiem się), lecz czynił wciąż to, co potrafił najlepiej. Przecież wahadło historii w ciągu ludzkiego życia może wiele razy odbić w drugą stronę. Poza tym znalazł sobie paru serdecznych kompanów w znajdującym się w śródmieściu antykwariacie, gdzie tak dobrze było po codziennym rwetesie w tramwaju odpocząć i porozmawiać jak człowiek.

I tak rozmyślając niespiesznie, Opiatowicz zrobił małe okrażenie, podziwiał rzucone tu i tam, niczym kostki w przerwanej grze w domino, nagrobki, które, pochylone to w przód, to w tył, przypominały mu stare dobre czasy, kiedy należał jeszcze do sztywnej ryskiej szajki, tak właśnie spędzającej wieczory – na długich, czarno-białych rozgrywkach. Zresztą również

to prawdziwe domino wiązało się często z jakimś trupozem! Razu pewnego Opiatowicz znalazł się za stołem w pewnym bunkrze na Pardaugawie, gdzie odkrył przybity pod blatem futerał na nóż; po broń można było sięgnąć, jak tylko sprawy źle się potoczyły. Także i on nosił krótko za młodu biały szal i fiński nóż, ale nigdy nie podniósł ostrza na człowieka. Nie licząc oczywiście monet o zaostrzonym rancie, którymi rozcinał torby i torebki. Teraz pozostały mu tylko tramwaje, wracające z targu baby i ich chude portmonetki... Choć na szczęście miał jeszcze swoje melodie! Jak przyjemnie było podczas spaceru tu, w królestwie cieni, zanucić choćby starą pocziwą *Murkę* albo *Córkę prokuratora*, albo szczególnie pasującą do cmentarza *Słodką jagodę*. Życie okazywało się nie takie złe! Mogłaby co prawda być jeszcze kobieta – ale wiadomo, kto nie ma szczęścia w miłości, ten... Ledwie wczoraj odszukała go pewna młoda niewiasta o znaczącym przydomku Murka, prosząc go, autorytet w mieście, o pozwolenie na działanie. Piękna była jak księżniczka ciemności, chłopcy z Viljandi widocznie się jej bali, mówili, że zabiera im chleb z rąk, zwinna miała być jak diablica... O, tak, mogłaby się taka znaleźć u jego boku! Pozwolenie dziewczę oczywiście dostało, nie wahał się ani chwili.

Stąd myśli Opiatowicza popłynęły dalej, do królowej wszystkich gier, bilardu. Oto prawdziwie wielka filozofia, większa niż potrafią pojąć profesorscy okularnicy z uniwersytetów! Weźmy choćby kulę, zwaną durakiem, która jedynie czystym przypadkiem potoczy się do kieszeni w stole. Zupełnie jak w życiu, gdy człowieka, który znalazł się w niewłaściwym miejscu, trafi miażdżący cios i... na stos! Albo, jeśli spojrzeć na rzecz z innej strony, gdy nie wiedzieć czemu ktoś ma wciąż

wielkie i niesłychane szczęście, i choć sam nie odgrywa żadnej ważnej roli, nic się go nie ima, a on gapi się tylko dookoła z rozdziawioną gębą jak owca ciągnięta na rzeź. Lecz nagle bum i... w złocie albo w błocie! Dawny towarzysz z celi mówił, że Żydzi chowają umarłych stosunkowo prędko po zgonie i zawsze w pozycji siedzącej. Znowu, jakie to interesujące! Jakież bogate jest życie! Zdaje się, że wszyscy zmarli Żydzi siedzą pod ziemią jak w tramwaju i zmierzają nim na Sąd Ostateczny, do Jerozolimy lub do co-ich-tam-na-końcu-czeka. W podziemnych tramwajach, jasna sprawa, złodziei nie ma... Choć, ot, ot, kim są wówczas hieny cmentarne? Dopiero co pisano w ich dwujęzycznej prowincjonalnej gazecie, jak remontujący pobliski kościół w Suure-Jaani restauratorzy z petersburskiego Ermitażu wypili z naczynia umieszczonego na obelisku jakiegoś bałtyckiego Niemca cały spirytus, a w naczyniu przechowywano jego serce! O, tak, ciekawe jest to światowe życie, bez wątpienia! Pełne niespodzianek! Przebogate!

I tak dyskutując z samym sobą i uśmiechając się na początek pięknego dnia rozpoczynającego się w małym miasteczku carskiego imperium zwanym wciąż Viljandi, złodziej kieszonkowy Konstantin Opiatowicz skierował się z powrotem na przystanek. Zatrzymał się jeszcze na chwilę przed wysokim nagrobkiem, na którym wyrzeźbiono menorę. W tym miejscu stary kieszonkowiec zawsze przecierał swoje buty szmatką. Dzisiaj musiał nawet zdjąć z nogi jeden but, bo w podeszwę wbił się drobny kamyk. Gdy Opiatowicz podniósł potem oczy, w zdumienie wprawiła go niespotykana barwa zarośli. Na tle otaczającej cmentarz zieleni jeden z krzewów zdawał się szkarłatny niczym pożar!

## Obcy

Tramwaj nadjechał z okropnym hukiem i zgrzytem, jakby nadciągał nim bandzior z przewieszonym przez ramię tamburynem, pamiątką po rozrywkowej nocy. Opiatowicz ze zdziwieniem dostrzegł, że wagon nie jest pusty; na wprost środkowego wejścia siedział mężczyzna owinięty wypłowiałym i wystrzępionym, brązowym szalem. Na głowie ów obcy *stiliaga* miał karakułową czapę z daszkiem, przypominającą starodawną harmonię lub olbrzymią, zwiniętą z materiału ślimaczą muszlę. Obok jego siedzenia, mimo że tramwaj dopiero niedawno ruszył w swoją codzienną trasę, podłoga była mocno zapiaszczona, gdy więc Opiatowicz mijał dziwaka, musiał wykonać precyzyjny krok w bok jak w rumbie, by oszczędzić buty. Tacy odmieńcy nigdy nie byli na jego celowniku, ich nieprzewidywalność mogła przynieść jedynie kłopoty; ponieważ jednak widział jak na dłoni, że ten ludzki upiór wsiadł na poprzednim przystanku, czyli na nowym prawosławnym cmentarzu, Opiatowicz jako zawodowiec postanowił zaryzykować. Nie ma przecież bardziej roztargnionych i zagubionych niż ci grzebiący i opłakujący swoich zmarłych! Żałobników i pogrążonych w smutku wszyscy na tym świecie wodzą za nos – począwszy od sprzedawców trumien

i grabarzy aż do dziada, który gra na tubie i rozsiewając wokół siebie zapach wody kolońskiej i zataczając się na nogach, po wielokroć przychodzi z żądaniem zapłaty. A ci głupcy oczywiście płacą! Płaczą i płacą! Dodajcie cynicznych restauratorów i różnego rodzaju zawodowych organizatorów styp. To jednak twardy biznes. Wątpliwe, by uczciwemu złodziejowi w ogóle coś zostało po tych szakalach nieznających bojaźni bożej. Ale spróbować trzeba!

Opiatowicz usiadł za obcym i natychmiast poczuł słodkawą woń stęchlizny, dziwną mieszankę cerkiewnych kadzideł i intymnych problemów starego człowieka. Walcząc z obrzydzeniem, raczej z ciekawości niż z chęci zysku wsunął dłoń w kieszeń wełnianego płaszcza. Oho... Była od środka obszyta luksusowym futrem, choć do tego... pełna piachu! Złodziej z przestрахem cofnął rękę, gdy usłyszał, że nieznajomy mamrocze pod nosem. Dało się zrozumieć dwa zdania: coś zdarzyło się za wcześniej i to, że ktoś go ostrzegął; wiele razy obezwaniec powtórzył słowo... malaria! Zaraz potem szaleńca ogarnęły wzmagające się dreszcze i szczęśliwym trafem losu z kieszeni jego płaszcza wypadł okazałych rozmiarów portfel z cielęcej skóry, gruby jak mały kaszalot. Usta Opiatowicza same zaczęły nucić *Murkę*.